



Copyright © by Paweł Daniel Zalewski 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone. Poza uczciwym, osobistym korzystaniem w celu nauki, badań, analizy albo oceny, przewidzianym w Ustawie o Prawach Autorskich, Projektowych i Patentowych z 1988 r., żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w bazach danych ani transmitowana w żadnej postaci ani żadnymi środkami przekazu – elektronicznie, elektrycznie, chemicznie, mechanicznie, optycznie, przez fotokopie ani w żaden inny sposób – bez uprzedniej, pisemnej zgody właściciela praw autorskich.

© Wydawnictwo Astra s.c.
Kraków 2016

Projekt okładki i karty tytułowej:
Kamil Targosz

Ilustracje:
Szymon Jachna, Andrzej Gerlach

Fotografie na stronach: 301, 405, 420, 462, 468
z archiwum Pawła Daniela Zalewskiego

Skład i przygotowanie do druku:
Wydawnictwo Astra s.c.

Wydanie I
Kraków 2016

ISBN 978-65280-15-2

Wydawnictwo Astra
31-026 Kraków
ul. Radziwiłłowska 26/2
tel. 12 292 07 30, 602 256 638

www.wydawnictwoastra.pl
www.facebook.com/WydawnictwoAstra
wydawnictwo@astra.krakow.pl

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową
www.sklep.wydawnictwoastra.pl

SPIS TREŚCI

BIG BROTHER.....	7
TAMTEN DRUGI.....	57
KA.....	63
MOKRE OCZY.....	95
CIEŁĘCE POLICZKI.....	105
ANDROPAUZA.....	127
PRZERZUT W CENIE.....	135
ZEW KRWI.....	197
ŚWIĘTY MIKOŁAJ.....	225
W NASZYM BLOKU.....	277
STRZAŁY NA WIWAT.....	293
WIECZÓR Z BABCIĄ KIEPSKĄ.....	303
POCIĄG.....	315
TARGI.....	335
UCIECZKA.....	349
BABA POZNAJE ŚWIAT.....	397
KRZESŁA.....	407
NADIEŃKA.....	421
INTERLIDIA.....	439
WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ.....	463
JEDEN DZIEŃ.....	469



BIG BROTHER

– Dziś byłem w Gwatemali. – To były ostatnie trzeźwe słowa Kazka. Nie trzeźwe w opozycji do nietrzeźwych. Trzeźwe, bo wypowiedziane z jasnym czołem, w czasie jeszcze przejrzystym, w epoce niemal kryształowej, kiedy wszystko nasycone było światłem. Świat drzemał, niemy, przykryty bezpieczną warstwą puchu. Wybuch, który miał wyrzucić w przestrzeń obłok ciemnego pyłu, dopiero się czaił. Incydent z bransoletką z Gwatemali zdarzył się niedługo przed tą audycją, kiedy przymknęło się niebieskie niebo, zaledwie parę tygodni przed tym, zanim bure chmury zakleszczyły horyzont i szybko przesunęły się nad ich blok, by tam już pozostać. Kazek powiedział to w transparentne popołudnie, głosem pewnym i radośnie zaczepnym, wyraziście, z tym swoim radiowym tembrem.

– Bój się Boga, w jakiej Gwatemali? Przecież to jest gdzieś w czarnej Afryce. – Mama wyprostowała się znad stolnicy i otrzepała dłonie z resztek mąki.

– No, patrzcie. – Kazek podwinął rękaw, ukazując srebrzysty spleciony motyw. – Taki student z Gwatemali sprzedawał pod

arkadami na Grodzkiej swoje rękodzieło. Przy okazji pogadaliśmy o najnowszej płycie Mar de Copas.

– To bransoletka? – Matka wynurzyła się z kuchennych wyziewów, podeszła bliżej i złapała Kazka za przegub, zostawiając na nim drobiny białego pyłu. – Pokaż no tę Gwatemalę. No, nie ruszaj ręką, stań raz spokojnie.

– To widelec, widzicie? Bransoletka z widelca. Popatrz, jak sprytnie wplótł w warkocz zęby widelca i wygiął rączkę. Spryt biedy. Zręczność śniadego chłopaka. Ponoć posrebrzana. Zbierał na hostel. Chciał trzydzieści złotych, a dałem mu pięćdziesiąt. Więc byłem w Gwatemali. Ale to nie Afryka, mamó, zajrzyj sobie do atlasu. Fajna branzola, Antek, nie? – Wyrzucił to wszystko jednym tchem, błysnął nadgarstkiem i wskoczył do łazienki.

Teraz, w pół drogi między jawą a snem, Antoni przypomniał sobie zdjęcia z Internetu. Ciężarówka z plandekami, wieczorem zbierające ciała zmarłych z ulic City of Guatemala. Czy ten widelec przyjechał z Gwatemali? W tym ostatnim dniu starego świata Kazek nie miał przy sobie tej bransoletki. Nie miał jej na przegubie. Pewnie zapomniał ją założyć. Więc prawem natury, prawem domysłu przypadła Antoniemu, bratu młodszemu. Od tamtych dni leży na jego stoliku, na wyciągnięcie ręki, której Antoni jednak nie wyciąga, bo ta bransoletka jest jego czekaniem.

Księżyc mieszał swoje światło z blaskiem latarni, wolno przechodził z lewa na prawo, podglądając Antoniego przez nieszczelnie zasunięte masywne kotary, rzucając na białą pościel wędrującą szpiegowską smugę. Antoni wygodnie pogrążał się w przyjaznej miękkości, pozwalał kościom i mięśniom na przybieranie dowolnych pozycji. W wyobraźni modelował łóżko, tak jak ugniata się piasek na plaży lub śnieżny puch podczas zabawy. Zapadał w obojętność. Dawał ciału i myślom swobodę wyboru, przyzwalał wyostrzonym zmysłom na bezkarne stępienie. Były tylko przywołać sen. Ale myśli w swojej bezkarności zjeżyły się i jeły malować,

jak w zwierciadle, raport tamtych zdarzeń. Wszystkich zdarzeń, w których grał Kazek.

Ujrzał siebie z Kazkiem. Siedzą na murku pod kioskiem „Ruchu”. Sączą wodę z sokiem z jednej szklanki. I z uciechy machają nogami. Antoś w tenisówkach i podkolanówkach, Kazek w juniorkach i teksasach. „Szybko pijta, chłopaki, bo mam tylko trzy kufle” – pogania pani Heła siedząca przy saturatorze. W białym fartuchu, na wysokim stołku, wyglądała jak szefowa ulicy. „Szybko, gazu, bo zabraknie soku” – minutę wcześniej zawołał do Antka Kazek. Zawsze był bardziej „połapany”. Poza tym – starszy i wyższy. Już z daleka zobaczył, że sok malinowy w szklanym pojemniku na saturatorze się kończy, czerwona warstwa ledwo przykrywa dno. „Ma jeszcze tego na dwie, góra trzy porcje. Popatrz, leci czwórka z Kombinatu. Jak nie będziemy tam przed robotnikami z tramwaju, to wypiją nam cały sok. Gazu!” „Może ma jeszcze sok schowany pod saturatorem”, nieśmiało wymyślił Antoś, ale Kazek poleciał przodem. Najbliższy saturator był dopiero pod kinem Ugorek, jednak podpity pan Broniek prawie nigdy nie miał soku. Na piechotę z piętnaście minut, a woda bez soku i tak się nie liczy. W końcu stanęli w kolejce. Z niecierpliwością przebierali nogami, raz po raz wychylając głowy, by sprawdzić, czy osoby przed nimi proszą z sokiem, czy bez. Tymczasem tramwaj wywalił jęzor ludzi z teczkami. Rozsypali się ławicą na szerokość wysepki przystanku. Stworzyli gęsty tłum w różnych odcieniach szarości i ruszyli zwartą tyralierą, pomiędzy nielicznymi samochodami, prosto w paszczę swojego osiedla. Kilku stanęło tuż za nimi w kolejce do saturatora. Mieli gorące, robotnicze oddechy, zalatywało od nich potem, głosy brzmiały chropowato i niedbale. W dłoniach trzymali przygotowane zawczasu monety. „Jedna z sokiem, proszę panią”, krzyknął Antoś cieniutko i od razu zawstydził się niemeckiego głosu. Pani Heła odebrała szklankę od dziewczyny w chusteczce, wytrząsnęła niedopite krople, nadziała na wihajster, z którego